

Gustave Flaubert: Czyste serce

Jej rozpacz była bezgraniczna. Rzuciła się na ziemię, krzyczała, wzywała na pomoc Pana Boga i przepłakała, gdzieś w polu, porzucona, całą noc – aż do wschodu słońca – przeczytaj fragment opowiadania „Czyste serce” Gustave'a Flauberta w przekładzie Jarosława Marka Rymkiewicza.

I

Przez całe pół wieku gospodynie z Pont-l'Évêque zazdrościły pani Auban, że ma taką służącą jak Félicité.

Za sto franków rocznie Félicité gotowała i sprzątała, szyła, prała, prasowała, a umiała też osiodłać konia, ubić masło, utuczyć drób i pozostawała wierna swej pani – która wcale nie była miłą osobą.

Pani Auban poślubiła ślicznego chłopca, który nic nie miał i który zmarł w początkach roku 1809, pozostawiając jej dwoje małych dzieci oraz dużo długów. Sprzedała więc swoje nieruchomości, z wyjątkiem farmy, która nazywała się Toucques, i drugiej, która nazywała się Geffosses – dochód z nich wynosił co najwyżej 5000 franków rocznie – i opuściła swój dom w Saint-Melaine, aby zamieszkać w innym, mniej kosztownym, który należał do jej przodków i położony był poza halami.

Ten dom, pokryty dachówką, znajdował się między wąskim pasażem i uliczką, która dochodziła do rzeki. Wewnątrz domu były różnice poziomów, co powodowało, że łatwo można było się potknąć. Wąski przedpokój oddzielał kuchnię od saloniku, w którym pani Auban, siedząc w wyplatany fotelu przy oknie, spędzała cały dzień. Wzdłuż pomalowanej na biało lamperii stało osiem mahoniowych krzeseł. Na starym fortepianie, pod barometrem, wznosił się ogromny stos kartonowych pudeł i pudełek. Po dwóch stronach kominka z żółtego marmuru w stylu Ludwika XV umieszczono dwie wyściełane berżerki. Zegar z wahadłem, w środku, przedstawiał świątynię Westy – i cały ten apartament czuć było trochę pleśnią, ponieważ podłoga znajdowała się poniżej poziomu ogrodu.

Na pierwszym piętrze był, zaraz ze schodów, pokój pani Auban, bardzo duży, oklejony tapetą w blade kwiaty; wisiał tam portret pana Auban w eleganckim stroju rojalisty. Pokój pani łączył się z mniejszym pokojem, gdzie stały dwa dziecinne łóżeczka, ale bez materacy. Potem szedł salon, zawsze zamknięty, gdzie było pełno mebli okrytych sukiennymi pokrowcami. Następnie wychodziło się na korytarz, który prowadził do gabinetu; książki i szpargały wszelkiego rodzaju stały i leżały tam na półkach biblioteki, która z trzech stron otaczała wielkie biurko wykonane z czarnego drzewa. Po dwóch stronach biurka stały dwa stoliki – ich blaty były niewidoczne, bowiem zakrywały je rysunki piórkiem, pejzaże malowane wodnymi farbami oraz sztychy Audrana; były to pamiątki lepszych czasów i minionego luksusu. Okrągłe okienko na drugim piętrze oświetlało pokój Félicité – był stamtąd widok na łąki.

Félicité wstawiała o świcie, żeby nie opuścić mszy, i pracowała bez przerwy do zmierzchu; potem, kiedy było już po obiedzie, naczynia były zmyte a drzwi zamknięte i sprawdzone, wsuwała kawałek drzewa w żarzący się popiół i z różańcem w dłoni zasypiała przed paleniskiem. Nikt, jeśli chodzi o targowanie się na rynku, nie był bardziej uparty. Jeśli zaś chodzi o czystość, to połysk jej garnków przyprawiał o rozpacz inne służące. Znano ją jako osobę oszczędną – jadła powoli, a potem zbierała palcem ze stołu okruchy chleba; bochenek takiego chleba, który pieczono specjalnie dla niej, ważył dwanaście funtów i zachowywał swoją świeżość przez dwadzieścia dni.

Przez cały rok nosiła szare pończochy, czerwoną halkę, perkalową chustę, spiętą na plecach agra} ą, czepek, pod którym ukrywała włosy, a na swoją kamizelę zakładała jeszcze fartuch z karczkiem – właśnie taki, jaki noszą pielęgniarki w szpitalach.

Jej głos był piskliwy, jej twarz wychudzona. Kiedy miała dwadzieścia pięć lat, dawano jej czterdzieści. Kiedy przekroczyła pięćdziesiątkę, to, ile miała lat, stało się czymś bez znaczenia – i zawsze milcząca, wyprostowana, poruszająca się miarowo, wydawała się figurą wykonaną z drzewa, funkcjonującą na swój własny, automatyczny sposób.

Jak każda – i ona także miała swoją historię miłosną. Jej ojciec, murarz, zabił się spadając z rusztowania. Potem umarła matka, siostry gdzieś się rozpierzchnęły, i przygarnął ją, jeszcze całkiem małą, gospodarz, u którego pilnowała krów na pastwisku. Dygotała tam z zimna w łąchmanach, leżąc na brzuchu piła wodę z kałuży, bito ją bez powodu i ostatecznie przegnano za kradzież trzydziestu sous, których nie ukradła. Przyjął ją inny dzierżawca, który potrzebował kogoś do pracy przy drobiu i przy królikach, a ponieważ podobała się patronom, inne służące jej zazdrościły.

Pewnego sierpniowego wieczoru (miała wtedy osiemnaście lat) zaciągnęły ją na wiejską zabawę w Colleville. Natychmiast poczuła się tam ogłuszona, oszołomiona przez hałaśliwe instrumenty wiejskich muzykantów, przez światła w gałęziach drzew, przez pstrokaciznę strojów, przez koronki i złote krzyże, przez ten tłum ludzi, którzy podskakiwali – wszyscy naraz. Stała skromnie na uboczu, gdy pewien dostatnio ubrany młody człowiek, który, oparty dwoma łokciami o dyszel wozu, palił fajkę, zaprosił ją do tańca. Potem postawił jej jabłecznik, kupił jej też kawę, kawałek placka, jedwabną chustkę i – wyobrażając sobie, że zrozumiała, o co chodzi – zaproponował, że ją odprowadzi. Kiedy znaleźli się na skraju pola, brutalnie przewrócił ją w owies. Félicité przestraszyła się i zaczęła krzyczeć. Wtedy odszedł.

Innego wieczoru, na drodze do Beaumont, kiedy, ocierając się o koła, chciała wyprzedzić jadący powoli wielki wóz z sianem, spostrzegła, że obok wozu idzie Théodore. Podszedł do niej i spokojnie powiedział, że powinna mu to wszystko wybaczyć, ponieważ, jak to ujął, „zawinił trunek”.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć i chciała uciec. Zaraz też zaczął coś mówić to o żniwach, to o notablach rządzących gminą, bowiem jego ojciec wyprowadził się był z Colleville i gospodarował na farmie w Écots; byli więc teraz sąsiadami. – Aha! – powiedziała. – Dodał jeszcze, że chcą go ożenić. Jemu zresztą się nie spieszyło, bowiem chciał znaleźć kobietę, która przypadłaby mu do gustu. Spuściła głowę. Wtedy zapytał ją, czy myśli o zamążpójściu. Odpowiedziała, trochę się uśmiechając, że nieładnie jest tak żartować. – Ale nie, przysięgam! – i lewą ręką objął ją w pasie; szła teraz podtrzymywana przez jego uścisk; zwolnili kroku. Wiatr osłabł, gwiazdy błyszcząły, ogromny stos siana kołysał się tuż przed nimi; i cztery konie, poruszając się coraz to wolniej, szły w kurzu, który wzbijał się spod ich kopyt. Potem, bez rozkazu, skręciły na prawo. Pocałował ją jeszcze raz. Zniknęła w mroku.

W następnym tygodniu zgodziła się na schadzki. Spotykali się gdzieś w kącie podwórza, gdzieś za murem, pod samotnym drzewem. Félicité nie była niewinna w tym sensie, w jakim niewinne bywają panienki – jej wiedza brała się z obserwacji życia zwierząt; ale rozsądek i poczucie honoru nie pozwoliły jej ulec. Théodore, rozdrażniony tym uporem, oświadczył – może chcąc usatysfakcjonować miłość własną, a może z naiwności – że pragnie ją poślubić. Nie chciała w to uwierzyć; wówczas on złożył solenną przysięgę.

Wkrótce jednak wyznał jej coś przykrego. W ubiegłym roku wyciągnął zły numer w czasie poboru i rodzice opłacili mu zastępcę; ale ułożyło to się tak, że w każdej chwili mógł być wezwany ponownie; myśl, że będzie musiał pójść do wojska, przerażała go. To tchórzostwo Félicité

uznała za dowód jego uczuć; miało to wpływ i na jej uczucia. Wymykała się w nocy na schadzki, w czasie których Théodore dręczył ją swoimi lękami i naleganiami.

W końcu oświadczył, że uda się sam do prefektury, aby zasięgnąć tam informacji, i opowie jej wszystko w najbliższą niedzielę – między jedenastą wieczorem a północą.

Kiedy nadszedł czas, pobiegła na schadzkę. Czekał tam na nią nie on, lecz jeden z jego przyjaciół.

Powiadomił on ją, że tego, z którym miała się spotkać, nigdy już nie zobaczy. Théodore, aby uchronić się przed poborem do wojska, poślubił był pewną starą, bogatą kobietę – panią Lehoussais, która miała gospodarstwo w Toucques.

Jej rozpacz była bezgraniczna. Rzuciła się na ziemię, krzyczała, wzywała na pomoc Pana Boga i przepłakała, gdzieś w polu, porzucona, całą noc – aż do wschodu słońca. Potem powróciła na farmę i powiedziała swoim gospodarzom, że odchodzi; pod koniec miesiąca, odebrawszy to, co się jej należało, zapakowała swoje rzeczy, których nie było wiele, w chustkę, i poszła do Pont-l'Évêque.

Tam, przed oberżą, zaczepiła pewną paniusią we wdowim kapeluszu – i okazało się, że akurat szuka ona służącej. Félicité niewiele umiała, ale wydawała się mieć tyle dobrej woli i tak mało wymagań, że paniusia we wdowim kapeluszu w końcu powiedziała:

– Niech będzie, przyjmuję cię!

Po piętnastu minutach Félicité znalazła się w domu pani Auban.

Początkowo żyła tam w jakimś rodzaju dygotu – to miało swój powód w tamtejszych domowych „manierach” oraz w pamięci o „panu”, która unosiła się nad tamtejszym życiem. Dzieci, Paul, który miał wtedy siedem lat, i Virginie, która miała zaledwie cztery, wydawały się jej wykonane z jakiejś bezcennej materii. Nosiła je, udając konia, na grzbiecie, i co chwila je całowała. Pani Auban musiała jej wreszcie tego zabronić, co bardzo ją dotknęło. Jednakże czuła się szczęśliwa. W słodczy domu powoli rozplýwał się jej smutek.

W każdy czwartek przyjaciele pani Auban przychodzili na partię bostona. Félicité przygotowywała karty i piecyki. Goście pojawiali się dokładnie o ósmej i wychodzili, zanim wybiła jedenasta.

W każdy poniedziałek, o świcie, handlarz starzyzną, który mieszkał nieopodal domu pani Auban, rozkładał na ziemi swoje żelastwo. Potem miasteczko napełniały różne głosy – rżenie koni, beczenie jagniąt i chrząkanie świń mieszały się z suchym stukotem kariolek, które przejeżdżały pod domem. Koło południa, kiedy targ był w swojej pełni, na progu pojawiał się wysoki, stary wieśniak z długim, haczykowatym nosem, w kaszkiecie zsuniętym na tył głowy – był to Robelin, dzierżawca z Geffosses. Zaraz po nim przychodził Liébard, dzierżawca z Toucques, mały, brzuchaty, czerwony na twarzy; ten nosił szary kaftan i sztylpy z ostrogami.

Dzierżawcy mieli do zaoferowania swojej właścicielce sery i drób. Obaj byli chytry, ale Félicité za każdym razem potrafiła sobie z nimi poradzić; była za to przez nich bardzo poważana.

Od czasu do czasu nieregularne wizyty składał pani Auban jeden z jej wujów, markiz de Gremanville; był to stary birbant, zrujnowany przez pijaństwo i rozpustę, który żył w Falaise na ostatnim skrawku ziemi, który pozostał mu z jego majątków. Pojawiał się zwykle w porze obiadu, razem ze swoim okropnym pudlem, który zostawiał ślady łap na wszystkich meblach. Markiz robił wysiłki, aby wydawać się człowiekiem dystyngowanym – uchylał nawet kapelusza za każdym razem, gdy mówił: – Nieboszczyk mój ojciec... – ale ostatecznie przyzwyczajenie brało górę i nalewając sobie kieliszek za kieliszkiem, opowiadał jakieś świńskie dowcipy. Félicité wypychała go grzecznie na ulicę: – Ma pan już dość, panie de Gremanville! Do następnego razu! – i zamykała za nim drzwi.

Z przyjemnością natomiast otwierała drzwi przed panem Bourais, który niegdyś był adwokatem. Jego biała krawatka i jego łysina, żabot jego koszuli, jego obszerny tabaczkowy surdut, okrągły gest jego ręki (gdy zażywał tabaki), cała jego osoba, wszystko to było przyczyną jej zakłopotania – był to ten właśnie kłopot, który sprawiają nam swoją obecnością ludzie niezwyčajni.

Ponieważ zarządzał on posiadłościami pani Auban, na długie godziny zamykał się razem z nią w gabinecie zmarłego pana domu; żywił ogromny respekt dla sądów oraz sądownictwa, lękał się kompromitacji i wyobrażał sobie, że jest wielkim znawcą łaciny.

Ażeby w jakiś miły sposób przyczynić się do wykształcenia dzieci, ofiarował im książkę do geografii z rycinami, które przedstawiały najróżniejsze sceny z całej kuli ziemskiej – można tam było zobaczyć ludożerców z pióropuszcami na głowach, małpę porywającą jakąś panienkę, Beduinów na pustyni, wieloryba schwytanego na harpun i tak dalej.

Paul objaśniał treść owych rycin Félicité. Można nawet powiedzieć, że na tym zakończyła się jej edukacja literacka.

Edukacja dzieci powierzona została niejakiemu Guyot; był to biedaczyna, który pracował w merostwie, a znany był z tego, że miał piękny charakter pisma, a swój scyzoryk ostrzył na cholewie buta.

Gdy była pogoda, o wczesnej godzinie wyjeżdżano na farmę Geffosses.

Dziedziniec usytuowany jest tam na zboczu, dom stoi w środku; morze, w dali, wydaje się szarą plamą. Félicité wyjmowała z kosza plastry zimnego mięsa i siadano do śniadania w pomieszczeniu przylegającym do mleczarni. Była to jedyna pozostałość letniego domu państwa Auban, który już nie istniał. Wiatr, kiedy tam wpadał, poruszał zwisającymi ze ścian strzępami tapet. Wracały wspomnienia i pani Auban, przygnębiona, chowała twarz w dłoniach; dzieci nie śmiały się odzywać. – Ależ idźcie już! Idźcie się bawić! – mówiła; i dzieci wybiegały na łąkę.

Paul wdrapywał się pod dach stodoły, próbował łapać ptaki, puszczał kaczki na stawie albo, znalazłszy jakiś kij, uderzał nim w pokrywy wielkich beczek, które wydawały taki dźwięk, jakby były bębnami.

Virginie karmiła króliki, zbierała bławatki i kiedy biegła, widać było jej długie haftowane majtki. Pewnego jesiennego wieczoru wracano przez łąki.

Księżyc, w swojej pierwszej kwadrze, oświetlał tylko część nieba i mgła, jak szarfa, przesuwiała się ponad zakolami rzeczki. Woły, leżące w trawie, przyglądały się spokojnie tym czterem osobom, które przechodziły tuż obok nich. Na trzecim z kolei pastwisku kilka z nich podniosło się, a potem utworzyło krąg wokół przechodzących. – Nie bójcie się! – powiedziała Félicité; i, mrucząc pod nosem coś w rodzaju pieśni żałobnej, pogłaskała po grzbiecie to ze zwierząt, które było najbliżej; wół zrobił pół obrotu, pozostałe uczyniły to samo. Ale kiedy przechodzili przez następne pastwisko, usłyszeli ryczenie niewidzialnego zwierzęcia. Był to byk, który ukrył się w gęstej mgle; teraz był już blisko obu kobiet. Pani Auban zaczęła biec. – Nie! Nie! Wolniej, proszę pani! – Ale wreszcie obie przyśpieszyły, słysząc za sobą głośny oddech, dyszenie, które było coraz bliżej. Kopyta stukały w trawie – jak młotki; a oto teraz już i galopował! Félicité odwróciła się, obiema rękami wyrwała dwa płaty darni i cisnęła je w oczy zwierzęcia. Byk opuścił pysk i dygotał z wściekłości, straszliwie rycząc i potrząsając rogami. Pani Auban, która razem z dziećmi była już na skraju pastwiska, szukała rozpaczliwie sposobu, w jaki mogłaby przedostać się przez wysokie ogrodzenie. Félicité wciąż cofała się przed zwierzęciem, ciągle też rzucając mu w oczy kawałki darni, które go oślepiały; krzyczała przy tym: – Pośpieszcie się! Pośpieszcie!

Pani Auban udało się wreszcie zejść w głąb rowu, który dzielił pastwiska; upadła kilka razy, popychając Virginie, a potem Paula, i próbując wdrapać się na skarpe; w końcu, zebrawszy całą energię, jakoś tego dokonała.

Byk przyparł Félicité do wysokiej bariery; jego ślina bryzgała jej w oczy; jeszcze chwila i byłby ją rozpruł. Ale zdołała w porę wcisnąć się w prześwit między dwoma kratownicami; ogromne bydlę, zadziwione, zatrzymało się przed przeszkodą.

To wydarzenie, przez wiele lat, było tematem rozmów w Pont-l'Évêque. Félicité nie czuła się dumna, nawet się nie domyślała, że dokonała czegoś heroicznego.

Obchodziła ją tylko Virginie, bowiem, w następstwie doznanego przestrawienia, dziewczynka zapadła na coś takiego, co nazywano chorobą nerwową; doktor rodziny, pan Poupart, zalecał kąpiele morskie w Trouville.

Był to czas, kiedy jeszcze tam nie jeżdżono. Pani Auban zasięgnęła wiadomości, naradziła się z panem Bourais; przygotowano się do długiej podróży.

Bagaż wyjechały poprzedniego dnia na wozie Liébarda, dzierżawcy z Toucques. Nazajutrz pojawił się on z dwoma końmi – jeden z nich osiodłany był po damsku, a damskie siodło zaopatrzone było dodatkowo w oparcie wyściełane aksamitem; na grzbiecie drugiego

konia zwinięty płaszcz tworzył coś w rodzaju siedzenia. Pani Auban wdrapała się, za Liébardem, na tego drugiego. Virginie jechała pod opieką Félicité, a Paul dosiadł osła, którego właścicielem był pan Lechaptois; osioł został wypożyczony pod warunkiem, że będzie miał w Trouville troskliwą opiekę.

Droga była w stanie tak fatalnym, że przejechanie ośmiu kilometrów trwało dwie godziny. Konie wpadały po pęciny w błoto i podrzucały jeźdźców, żeby się z niego wydostać; to potykały się w głębokich koleinach, to próbowały je przeskakiwać. Klacz Liébarda w pewnych miejscach nagle się zatrzymywała. Dzierżawca nie reagował i cierpliwie czekał, żeby zechciała ruszyć; przy okazji opowiadał zaś pani Auban o ludziach, których posiadłości znajdowały się przy drodze; dorzucał też do tych opowieści swoje re eksje moralne. Kiedy już znaleźli się w Toucques i właśnie mijali gospodarstwo, gdzie pod oknami kwitły nasturcje, powiedział, wzruszając przy tym ramionami: – A tu mieszka jedna taka pani Lehoussais, która zamiast wziąć sobie młodego... – Félicité nie usłyszała reszty; konie szły stępa, osioł galopował; wjechali na boczną drogę, bariera obróciła się, pojawili się dwaj chłopcy i już byli na progu domu; schodzili z koni tuż przy gnojówce.

Matka Liébard, widząc swoją panią, nie skąpiła objawów radości. Podała im śniadanie – pieczeń wołową, krwawą kiszkę, flaki, potrawkę z kurczaka, musujący jabłecznik, tartę z owocami i śliwki w zalewie, a wszystko to ozdobione grzecznościami pod adresem pani Auban, która wydawała się być w najlepszym zdrowiu, panienki, która pięknie wyrosła, oraz panicza Paula, który bardzo zmężniał; wspomniani zostali również ich zmarli dziadkowie, których Liébardowie, służąc rodzinie od wielu pokoleń, dobrze znali. W gospodarstwie, jak i w dzierżawcach, było coś starodawnego. Belki sufitów były stoczone przez

korniki, ściany szerniały od dymu, ka e i szyby pokrył szary pył. Na półkach dębowego kredensu stały najróżniejsze utensylia i naczynia – talerze, dzbanki, cynowe miski, sidła i wnyki na wilki, nożyce do strzyżenia baranów; dzieci rozśmieszyła ogromna strzykawka. Na żadnym z trzech dziedzińców nie było tam drzewa, którego podstawa nie byłaby obrośnięta przez grzyby i z którego konarów nie wyrastałyby gałązki jemioły. Wiatr połamał niektóre z drzew i te odbijały od środka; wszystkie zaś uginały się pod ogromną ilością owoców. Strzechom, przypominającym brązowy aksamit o nierównej grubości, nie mogły zaszkodzić nawet najstraszliwsze wiatry. A jednak wozownia była w ruinie. Pani Auban powiedziała, że się nad tym zastanowi, i poleciła osiodłać konie.

Nim dojechali do Trouville, minęło jeszcze pół godziny. Trzeba było zejść z koni, żeby ominąć nadmorskie skały, które nazywano Écores – stromy brzeg wisiał tam nad przepływającymi żaglowcami. Trzy minuty później, na końcu nadbrzeżnego bulwaru, wjechali na dziedziniec oberży pod nazwą Złotego Jagnięcia; jej właścicielką była pani David.

Virginie, już od pierwszych dni, poczuła się lepiej; był to rezultat zmiany klimatu oraz działania kąpieli morskich. Ponieważ nie miała kostiumu, brała je w długiej koszuli, a Félicité przebierała ją w chatce, którą kąpiącym się użyczał tamtejszy celnik.

Po południu siodłano osła i udawano się aż poza Czarne Skały, to znaczy w kierunku Hennequeville. Ścieżka, która początkowo prowadziła przez teren nieco pagórkowaty i przypominający trochę trawniki wielkiego parku, wydostawała się potem na płaskowzgórze, i biegła to przez uprawne pola, to przez pastwiska. Tuż przy drodze, w

przerwach między gęstwiną, którą tworzyły cierniste krzaki jeżyn, były miejsca, gdzie rosły ostrokrzewy. Tu i ówdzie wielkie martwe drzewo rzucało w błękit zygaki swych czarnych gałęzi.

Odpoczywano zwykle na łące, gdzie po lewej ręce miało się Deauville, po prawej Hawr – naprzeciw zaś, twarzą w twarz, było pełne morze. Błyszczało w słońcu i było gładkie jak lustro, a poruszało się z taką słodyczą, że zaledwie słychać było jego ciche mruczenie. Ćwierkały wróble, ukryte gdzieś w zaroślach, a wszystko to było okryte zwierciadlanym sklepieniem nieba. Pani Auban, siedząc na trawie, zajmowała się swoją robótką; tuż obok Virginie spletała bransoletkę z trzciny; Félicité zrywała kwiaty lawendy; Paul, którego to nudziło, chciał wracać.

Kiedy indziej, przepłynąwszy w łodzi ujście rzeczki Toucques, zabawiano się zbieraniem muszelek. Odpływ pozostawiał na piasku jeżowce, meduzy i małże, których skorupy nazywano muszlami świętego Jakuba. Dzieci biegały, próbując schwytać strzępy morskiej piany, które porywał wiatr. Uspione fale, spadając na piasek, przesuwały się w głąb wybrzeża, a ono rozciągało się jak okiem sięgnąć, w nieskończoność, ale od strony stałego lądu miało granicę – stanowiły ją wydmy, oddzielające nadbrzeżne piaski od ogromnej łąki, która miała kształt hipodromu i którą nazywano Marais.

Kiedy wracano przez tę właśnie łąkę, Trouville, położone na pochyłości, powiększało się z każdym krokiem – i wydawało się, razem ze wszystkimi swoimi domkami, większymi i mniejszymi, rozkwitać w wesołym nieładzie.

W takie dni, kiedy było bardzo gorąco, w ogóle nie opuszczano pokoju. Oślepiająca jasność letniego dnia przedostawała się przez szczeliny żaluzji i pasma światła kładły się na podłodze. Miasteczko milczało. Pod oknami, na trotuarach, nie było nikogo. Ta cisza, rozprzestrzeniając się, powiększała stabilność rzeczy. Słyszeć było tylko, gdzieś w dali, od czasu do czasu, młoty robotników uszczelniających kadłuby statków i morską bryza przynosiła zapach smoły.

Najmilszą rozrywką była obserwacja wracających łodzi. Kiedy już przepłynęły pomiędzy bojami, zaczynały lawirować, płynąc to lewym, to prawym halsem. Żagle opuszczały się do dwóch trzecich masztu; przedni żagiel przybierał kształt balonu. Prześlizgiwały się między falami bijącymi o kadłuby i nagle, gdy znalazły się w basenie portowym, spadały kotwice. Wtedy łodzie ustawiały się wzdłuż nadbrzeża. Marynarze rzucali ponad deskami pokładu trzepoczące się ryby; oczekiwał już na nie rząd wózków i kobiety w bawełnianych czepkach dźwigały kosze i całowały swoich mężczyzn.

Jedna z tych kobiet, pewnego dnia, podeszła do Félicité, która niebawem wróciła w świetnym humorze – oto odnalazła jedną ze swoich siostr; i rychło też pojawiła się Nastasie Barette, z męża Leroux; na rękę miała niemowlę przy piersi, prawą ręką trzymała za rączkę drugie dziecko, a pod jej lewym łokciem stał malec o wyglądzie chłopca okrętowego – trzymał się pod boki, a berecik miał zsunięty na ucho.

Pani Auban odprawiła ją po piętnastu minutach. Ale potem wciąż ją spotykano, razem z dziećmi, przy wejściu do kuchni; i pojawiała się też w czasie spacerów. Leroux mąż nigdy się nie pokazał.

Félicité natychmiast pokochała i ją, i jej dzieci. Kupiła im kołdrę, kilka koszul, także piecyk – było oczywiste, że ją wykorzystują. Ta słabość Félicité złościła panią Auban, której nie podobało się również i to, że siostrzeniec się spoufalał – zaczął mówić po imieniu do jej syna. A ponieważ Virginie kaszlała i pogoda także się popsowała, powrócono do Pont-l'Évêque.

Pan Bourais udzielił pani Auban informacji dotyczących wyboru gimnazjum. Za najlepsze uchodziło gimnazjum w Caen; i tam właśnie Paul został wysłany. Pożegnał się dzielnie, usatysfakcjonowany tym, że jedzie do internatu, gdzie będzie miał kolegów.

Ponieważ było to nieuniknione, pani Auban z rezygnacją przyjęła wyjazd syna. W myślach Virginie pojawiał się coraz to rzadziej; i tylko Félicité brakowało jego hałasów. Ale znalazło się zajęcie, które szybko ją wciągnęło. Od Bożego Narodzenia codziennie prowadziła dziewczynkę na lekcje katechizmu.

Czytaj całość w książce *Trzy baśnie* Gustave'a Flauberta

Przeł. Jarosław Marek Rymkiewicz



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego